



Marcin Mateusz Kołakowski

Historia, rynek czy demokracja?

Sześć gawęd o Londynie na długie deszczowe wieczory

Londyn,
Muzeum Miasta
Londynu.
Fot. Marcin
Kołakowski.

Miasto nie jest dziełem tylko artystów i urbanistów. Sił tworzących przestrzeń publiczną jest wiele. Wolny rynek, historyczna ewolucja i demokracja nie mówią tym samym językiem. Która strona przeważy? W Wielkiej Brytanii mówi się, że architektura jest aktem politycznym. W jednym z najważniejszych miast świata – Londynie – obserwujemy dramatyczne zmagania się tych sił, które nie zawsze kończą się happy endem. Opowiem o nich i obiecuję na koniec pokazać, że demokracja ma szansę... nawet w naszych czasach.

Tak naprawdę Londynu nie ma. Gdy spróbujemy rozwikłać te przestrzenno-kulturowe puzzle, łatwo przepadniemy w ślepej uliczce, a jest ich tu, nad Tamizą, bez liku.

Dla przyjeżdżających tu po raz pierwszy istnieje bombastyczny *Londyn Historii na Pokaz*. Został on skonstruowany dla blakających się turystów, którzy na wyścigi zaliczają „Te Miejsca, Które Zobaczyć Trzeba”. Rozpoznaje się ich po tym, że pytają: „Gdzie jest centrum?”. A tu nie ma centrum. Miasto to powstało z posklejanych przedmieść, i takie pozostało. Zamiast centrum są tu niezliczone uliczki małych szeregowych domków z kiczowatymi pilastrami, długimi korytarzami, a przede wszystkim z drugim, tylnym wyjściem do warzywniaka, który tradycyjnie otoczony jest ceglanym murem. Za kuchennymi drzwiami zaczyna się inne miasto. To *Londyn Ogródków*, niedostępny dla turystów, dostępny za to dla myszy, kotów i miejskich lisów, które czasem widuję przez okno. Każdy robi co chce ze swoim arem ziemi: od gór kompostu po galerie sztuki – wszystko jest tu dozwolone, nikogo to nie obchodzi. Tu wyrósł *Londyn Indywidualistów*. Jego większym bratem jest *Londyn Parków*. Te wielohektarowe otwarte polany traw kontrastują w kilkunastu parkach z gęstą zabudową wąskich uliczek. Latem setki ludzi wychodzą tu po pracy, by spotykać się z innymi i grać w bejsbol, piłkę nożną lub jedną z tych niezrozumiałych angielskich gier, których zasady teraz pominiemy. Grają w nie dorośli, którzy nie wstydzą się pokazać, że dziecko w nich wciąż żyje. Wiele firm, wśród nich wszystkie większe firmy architektoniczne, organizuje turnieje międzybiurowe. Dziesiątki pulchnych pań i panów biega tu za piłeczkami. Boiska zaznaczone kupkami kamieni nakładają się. Mnogość gier tworzy surrealistyczną atmosferę rodem z „Alicji w krainie czarów”. Ta ogólna dostępność jest swoistym uosobieniem demokracji. Znacznie bardziej niż najnowsza szklana siedziba władz miasta nad Tamizą, która jak zamknięta pięść kurczowo trzyma w sobie tuziny urzędników.

Istnieje też mniej sielankowy *Londyn Biedoty i Emigrantów*. Oni pracują po 80 godzin tygodniowo za stawkę o połowę mniejszą niż minimum socjalne. Od rana można ich spotkać w *Londynie Restauracji*, w którym w zeszłym roku zatrudniło się jedzeniem 10 tysięcy osób. Wieczorem wracają do *Londynu Suterena*. Ponad 1/4 mieszkań ma tu problemy z wilgocią. Inne plagi, takie jak szczury, myszy, karaluchy, pluskwy, niewyobrażalne w standardach polskich, nie dziwią tu nikogo, a ich powszechność jest zastraszająca. Gdy moja znajoma mieszkająca w całkiem luksusowej kamienicy w centrum miasta z przerażeniem zadzwoniła do administracji, mówiąc, że na środku jej pokoju siedzi szczur i się na nią patrzy, usłyszała głos pełen zdziwienia: *Przecież mieszka pani w Londynie, czemu się pani tak dziwi.*

Od tego roku po raz pierwszy w historii cywilizacji więcej ludzi mieszka w mieście niż na wsi. Znaczy to, że główne problemy dotyczące społeczeństwa

i środowiska skupiają się w miastach takich jak Londyn. Nowe zjawiska, jak globalizacja, Internet, tani transport, tworzą nową scenografię dla zmian, które są nieuniknione. W jakim kierunku idziemy, a w jakim powinniśmy iść? Najczęściej słyszane odpowiedzi są dwie. Jedna to wolny rynek, druga to kontynuacja historii. Czy istnieje rozwiązanie trzecie? Wielu wierzy, że trzecią odpowiedzią jest demokracja. Oczywiście oficjalna polityka lubi też używać tego słowa. W jego obronie gotowa jest bombardować inne kraje... nawet jeśli większość Brytyjczyków opowiada się przeciw. Są jednak tacy, którzy demokrację chcą zdefiniować od nowa. Niedaleko od mojego przystanku pojawiło się jednak graffiti: *Gdyby demokracja mogła coś zmienić, byłaby zabroniona*. Czy to możliwe, by istniało zagrożenie demokracji? Ile wolności daje wolny rynek? W architekturze i urbanistyce możemy dostrzec nie tylko pytania, ale i odpowiedzi na nie. Wystarczy spojrzeć w karty historii...

Epizod I

Gdy Budika – ostatnia prawdziwie brytyjska władczyni – po kolejnej męskiej walce uległa wojskom rzymskim, dla Londinium rozpoczął się nowy okres. Neron zapragnął prowincjonalną wieś zamienić w symbol panowania imperium. Zapewne Neron słyszał o tym, że historia jest nauczycielką życia. Na grunt architektury wprowadzał jednak zasadę *Historia est magistra vitae* z arogancją właściwą zdobywcy. W architekturze Rzymianie nie troszczyli się zbyt o tradycje budowlane podbitych ludów. Rzymskie porządki pojawiły się zarówno w administracji, jak i w architekturze. Powstał standaryzowany kwadratowy fort wojskowy, typowe rzymskie łaźnie, rzymska bazylika i kopie rzymskich willi. Architektura każdego państwa imperialnego powstawała zgodnie z zasadą: *Budujcie tak, by podróżujący Rzymianin mógł na podbitych terenach czuć się jak w domu*. Za kilkanaście wieków Anglicy nie różnili się od Rzymian, robiąc to samo w koloniach.

Neron w centrum nowej osady wybudował świątynię czczącą jego samego. Długo się nią nie cieszył. Umarł niebawem, tak jak i jego dzieła. Śmierć znienawidzonego Nerona świętowano w Londinium hucznie, burząc jego świątynię i pomniki. Kilku wstawiało się za wartością artystyczną dzieł, ale musiało ulec wobec czeladzi, która miała zupełnie inny stosunek do sztuki.

Na miejscu świątyni postawiono amfiteatr z gladiatorami, będący eksportowym produktem rzymskiej kultury rozrywkowej – symbol, że od teraz architektura służyć ma ludowi.

Jakież morały i wnioski wynikają z pierwszych stron historii Londinium?

Po pierwsze, nawiązywanie do tradycji nie ma nic wspólnego z praktycznością. Przecież kopiowanie willi ze słonecznej Italii pod dżdżystym angielskim niebem niechybnie skończyć się musi przemokniętymi fundamentami i kapiącymi dachami. Tak się też działo.



Po drugie, szacunek do historii jest wybiórczy. Wybieramy tę tradycję, która dodaje nam chwały. Wybór jest ze wszech miar symboliczny, rzadko mówi o faktach. Poprzez symbole pokazujemy światu, do której kultury chcemy należeć... niekoniecznie, do której należymy.

Po trzecie wreszcie, tradycja wydająca się najtrwalszą i świętą może być zburzona z dnia na dzień, ku uciechu gawiedzi.

Londyn,
ogrody na tyłach
domów.

Fot. Marcin
Kołakowski.

Rynek

Po dwóch tysiącach lat Londyn chce czerpać wzorce z innego imperium. Władze komunalne, jak gdyby wstydząc się swojskich, niskich, szeregowych domków, chcą upodobnić miasto do Manhattanu. Na razie wciąż daleko do osiągnięcia tych

wysokich aspiracji, chociaż w czasie rządów Thatcher stanął już Canary Wharf, który przez kilka lat był najwyższym budynkiem w Europie. Zanim został ukończony w 1989 roku, Irlandzkiej Armii Republikańskiej prawie udało się go wysadzić w powietrze, czyli poniekąd nawet antycypować historię Nowego Jorku. W następnych 5 latach mają wyrosnąć nowe londyńskie drapacze chmur, będące przedmiotem zachwyty architektów, owocem megalomanii biznesmenów i celem dla terrorystów.

Wielkie wieże będą mieściły w sobie tysiące metrów kwadratowych biur do wynajęcia. Miejsc, które z definicji są anonimowe. Nie ma tu mowy o trwałym związku z architekturą, trwałych śladach, rzeźbach czy indywidualnym związku pracowników z budynkiem. Nic takiego. Firmy bankrutują, przychodzą inne, dlatego wszystkie etykiety są łatwe do zdjęcia, a wystrój wewnątrz możliwie neutralny na wymienialnych panelach. Oto przyczyny sukcesu architektury zwanej elastyczną. Wielkie biura niedostępne w dzień i zamykane na noc są martwymi miejscami w mieście. W centrum biznesu – *City of London*, nocą belkoty zabłąkanego pijaka odbijają się echem od szklanych fasad biurowców na opustoszałych ulicach, a w weekendy metro tu się nie zatrzymuje. Kogo to jednak obchodzi, że przestrzenie miasta wyjaławiają się kulturalnie? Wielkie koncerny nie są przecież firmami charytatywnymi. Struktura firm (których budżet przekracza często finanse państw) nie ma i nigdy nie miała nic wspólnego z demokracją. Ich cele, wyznaczone przez małą grupkę udziałowców, dotyczą tylko zysków. Nikt się nie troszczy, czy produkcja rozwija się dla dobra ludzi, przestrzeni miejskiej czy środowiska tak długo, jak przynosi korzyści. Budynki wielkich firm zamykają się więc jak bunkry w środku miasta. Główna siedziba korporacji Shell, nazwana najbardziej faszystowską architekturą nad Tamizą, ma dziś wielu naśladowców. To nie przypadek, że boom na biurowe dzielnice zbiegł się z panowaniem Margaret Thatcher, która powiedziała: *Nie istnieje nic takiego jak społeczeństwo – istnieje tylko jednostka i jego rodzina.*

Eko-nomia czy -logia? – Zaburzona ekologia pokazuje konflikt rynku i dobra publicznego. To właśnie w Londynie w okresie rewolucji industrialnej powstało słowo „smog”, pochodzące z połączenia angielskiego *smoke* (dym) i *fog* (mgła). Woda była wtedy zatruta tak bardzo, że alkoholowe trunki były jedynym akceptowanym napojem. Nawet dzieciom mamy dawały piwo do śniadania.

Koszt szkód ekologicznych wciąż nie stanowi ważnego czynnika w rachunku ekonomicznym. Dla ekonomistów czas mierzy się jutrzejszym zyskiem po zamknięciu giełdy. Perspektywa dziesięcioleci dotycząca ekologii lub stuleci, w jakich mierzy się architekturę, jest dla nich nierealną abstrakcją. Deweloperzy mierzą wartość w szybkim obrocie i zwrocie kapitału. Kolektory słoneczne zwracające się za 10 lat czy wymienniki ciepła zapewniające korzyści za lat 15 – są dla nich niezrozumiałym wyrzucaniem pieniędzy. Inwestują w budowę, by sprzedać obiekt w dwa miesiące po jej zakończeniu. Dla nich liczy się skala



i metry kwadratowe, a nie walory dla społeczeństwa. Ich pragnieniom mogą się przeciwstawić jedynie demokratycznie wybrane władze i legislacje. Te jednak coraz częściej przedstawiane są jako czynnik powodujący niepotrzebne ograniczanie wolności rynku. Niebawem w dzielnicach takich jak Greenwich powstaną biurowce o wątpliwej wartości estetycznej, które zniszczą skalę dzielnicy, zaburzą unikalną niszę ekologiczną w zakolu rzeki.

We współczesnej architekturze daje do myślenia fakt, że beton jest jednym z najtańszych budulców, będąc przy tym jedną z głównych przyczyn efektu cieplarnianego. Jego pozyskiwanie niszczy środowisko, produkcja cementu powoduje wydzielanie CO₂ i szereg trucizn, a transport jest trudny i energochłonny. Jednak korzystający z betonowego biznesu nie dopuszczają nawet myśli, że powinni płacić za szkody wyrządzone nie tylko naturze regionalnej, ale i afrykańskim rolnikom, którzy nie doczekają się w tym roku plonów z powodu podniesionej temperatury planety.

Wolność handlu może mieć swój niezaprzeczalny urok. Dzięki niej powstał *London Małych Sklepików*. W każdej dzielnicy odnajdziesz kilkanaście ulic i uliczek z małymi sklepikami – zwykle podejrzanie brudnymi, niemniej z sąsiedzką, uprzejmą atmosferą. Gdziekolwiek byś mieszkał, będziesz miał najwyżej 7 minut do najbliższego zielniaka, trzech kiosków, pubu, lokalnego Chińczyka z ryżem na wynos i bukmachera z transmisją podrzędnej gonitwy koni, no i oczywiście do sklepu charytatywnego z ubraniami i rupieciami z drugiej ręki. To ostatnie jest prawdziwą specjalnością Londynu.

Problem się zaczyna, gdy sklepik zamienia się w supermarket, w którym nie ma już znajomego sprzedawcy i trudno wierzyć w szczerą serdeczność ekspedientki.

Londyn,
City w budowie.
Fot. Marcin
Kolakowski.

Jak dobrze już wiadomo w Polsce, centra zakupowe – *Maszyny do Kupowania* – zastępują indywidualność standardowym logo, spacerowe uliczki parkingami, a znajomość z lokalnym sprzedawcą wymieniają na kartę stałego klienta. W Wielkiej Brytanii rozpoznano to niebezpieczeństwo. Powstanie supermarketu obwarowane jest ograniczeniami i w zasadzie mogą one powstawać w oddaleniu od handlowych uliczek, na przykład przy trasach szybkiego ruchu. Wyłomem był okres thatcheryzmu, który do tej pory pozostawił tego typu obiekty o wątpliwym uroku.

Niestety, obecnie Londyn jest świadkiem powrotu zagrożenia dla miejsc publicznych. *Old Spitalfields* jest jednym z najstarszych targów w mieście. To jedno z najsympatyczniejszych miejsc, w które można przyjść w niedzielny poranek. Wśród rzędów straganów uda się kupić ubrania uszyte przez londyńskich artystów, meble i płyty, indyjskie sari lub abażur zrobiony z układów scalonych. To miejsce spotkań w kawiarniach i klubach. To tu byłem kiedyś na fantastycznym koncercie Cyganów polskich grających jazz mieszany z muzyką elektroniczną. Od kilku lat wielki biznes wypowiedział wojnę *Old Spitalfields*. Położenie bowiem jest niezwykle dogodne – tuż obok finansowego centrum. *Spitalfields* bronił się dzielnie. Komitet obrony tego miejsca jako wartości kulturalnej i społecznej zebrał 44 tysiące podpisów przeciw wyburzeniu historycznego budynku i zniszczeniu długiej tradycji targów. Niestety, w trakcie pisania tego tekstu dowiedziałem się, że podpisy nic nie obchodzą władz miasta, które wydały zezwolenie na wyburzenie budynku targowego. W tym miejscu powstanie wieżowiec i wielkie centrum handlowe. Architektem będzie znowu Norman Foster, który przechrwycił w ostatnich latach wszystkie najbardziej prestiżowe projekty Londynu. Zabity zostanie nie tylko *Old Spitalfields*, ale przede wszystkim demokracja. Kto bowiem może wierzyć, że jego głos cokolwiek znaczy i jego zdanie jest istotne, gdy 44 tysiące głosów nie są w stanie przeważać 10 biurokratów? „Architektura to akt polityczny” – historia nieraz udowodniła tę prawdę...

Epizod II

W roku o szatańskim numerze 1666 w niewielkiej piekarni w samym środku miasta nad chlebowym piecem zasnął młody czeladnik. Ta drzemka zmieniła los wielkiego mocarstwa. Iskra z pieca podpaliła gorący olej. Wrześniowy wicher szybko rozproszył ogień na okoliczne domy, potem na dzielnice. Widok przyćmił upiorne wizje Nerona o płonącym Rzymie. W Londynie spłonęło 89 kościołów, szpitali i szkół, 13 200 domów, 4000 ulic, 175 hektarów miasta zamieniło się w zgłiszczę. Jedną z największych stolic świata w ciągu paru dni przestała istnieć. Ruiny u wszystkich wzbudzały płacz i przerażenie... U wszystkich poza małą grupką – byli nimi architekci. Iskrzyły im się oczy, bo oto mieli okazję, jaka nie trafia się często w tym zawodzie. Trzeba było wybudować stolicę od nowa. Czasy ku temu wydawały się jak najbardziej sprzyjające. Kilka lat wcześniej



Ludwik XIV dzięki Hausmanowi dokonał architektonicznej rewolucji w Paryżu, gdzie powstały ronda i wielkie aleje. Fakty te dobrze znał najsłynniejszy wówczas angielski architekt Christopher Wren. Wspólnie z Johnem Evelynem przygotowali projekt, który mógł stworzyć nowoczesny wizerunek miasta. Nowe aleje i duże place miały otwierać się ku rzece i tworzyć szkielet komunikacji. Nowoczesny i ciekawy plan został jednak odrzucony. Król i specjalna komisja orzekli, że Anglia nie ma zamiaru naśladować koncepcji francuskiego monarchy, jest bowiem dumna ze swej historii. Decyzję odbudowy ulic takimi, jakie były przed pożarem, nazwano *znacznie praktyczniejszym projektem*. Wielu brytyjskich historyków pochlebnie mówi o odbudowie. Czytając jednak dokładniej książki o Londynie, jesteśmy świadkami historycznego rozdwojenia jaźni: W książce „The Times History of London” na stronie 69 czytamy: „*Wielki Pożar*” był *tragedią, ale „Wielka Odbudowa” była tryumfem: Londyn teraz mógł być dumny z eleganckiego oblicza architektury XVIII-wiecznej, której równać nie mogła się żadna z europejskich stolic*. Po przewróceniu kartki na stronę 70 czytamy jednak: *W 1700 roku [czyli tuż po odbudowie] Londyn był nie tylko obrzydliwie niehigieniczny, mając skrajnie niestosowny system zaopatrzenia w wodę, ale nie miał żadnego systemu kanalizacji, składowania ani podstawowej infrastruktury. Nie było również publicznego transportu, lamp przy drogach, chodników [...] ani straży pożarnej...*

Dowiadujemy się również, iż budynki były tak źle zaprojektowane, że sama rodzina królewska musiała się przenosić z jednego pałacu do drugiego, wyganiana wilgocią i grzybem, przed którym nie mogli uciec biedniejsi londyńczycy.

Można by zapytać, jak to się stało, że rzesze architektów marnowały swój czas, zajmując się kopiowaniem detali liści akantu zamiast planowaniem kanalizacji? Sztuka architektury bowiem polega nie tylko na odpowiadaniu na zadane problemy, ale przede wszystkim na stawianiu pytań. To sztuka najtrudniejsza i wymagająca interdyscyplinarnego spojrzenia na świat. W historii znaleźć można jednak wielu architektów, którzy doskonale odpowiedzieli na temat zastosowania złotego podziału, ale nie na temat zdrowego budynku. Odpowiadali prawidłowo, lecz na błędnie postawione pytania.

Historia

Ilu Anglików potrzeba, by zmienić żarówkę? – Siedmiu. Jednego do wkręcenia nowej i sześciu do śpiewania o niezapomnianym pięknie starej.

Anglia ma problemy z historią. Rzymskie *Historia est magistra vitae* ściera się tu z powiedzeniem Tomasza Manna: *Państwa, które myślą zbyt wiele o przeszłości, nie mają przyszłości*. Jest to defekt na tyle poważny, że architektoniczne decyzje wiążą się z konsekwencjami, które mogą być odczuwane przez wieki. Tym różni się architektura od artystycznych dzieł, które można schować za szafę, czy



od doraźnej polityki, reżyserowanej od wyborów do wyborów. Stąd też większa odpowiedzialność. Londyńczycy przestraszyli się odwagi nowoczesnego projektu Wrena i płacą za to do dziś. Teraz dużo bardziej niż kiedyś. Codziennie, stojąc w przepełnionych autobusach na zakorkowanych drogach lub w nieludzko zatłoczonym metrze, mają gorzką okazję porównywania się z Paryżem, który taką odwagę miał. Prędkość przewozowa w Londynie pod koniec XIX wieku wynosiła 12 km/h, była ona wyższa od dzisiejszej. Warszawiacy narzekający na korki powinni przyjechać na tydzień do Londynu na kurację poprawiającą humor. Idąc pieszo, i tak wyprzedzą wszystkich zmotoryzowanych. Od lutego następnego roku władze Londynu wprowadzają opłaty w wysokości 5 funtów za każdorazowy wjazd do centrum miasta. Jest to ponoć pierwsze tego typu rozwiązanie na świecie. Wzdrygnąłbym się jednak, gdybym miał nazwać je wizjonerskim.

Londyn,
wiktoriańska
zabudowa.
Fot. Marcin
Kolakowski.

W Anglii powrót do historii jest dzisiaj silniejszy niż ktokolwiek mógł przypuszczać jeszcze 30 lat temu. Modny postmodernizm nawiązujący do historii na początku odnosił się tylko do architektury, a narodził się właśnie w Londynie. Jego ojciec chrestny Charles Jenkes rozpoczynał swoje książki jak sensacyjne powieści: *Umarł modernizm* – głosił, po czym podawał dokładną datę i godzinę zburzenia blokowisk. Gdy mieszkalem w śląskich blokowiskach, postmodernizm lat 80. wydawał mi się objawieniem. Był kolorową alternatywą bogactwa form wobec betonowej, kanciastej nudy. W Anglii zrozumiałem, że ma też drugie oblicze. Jego rozkwit przypadł na czasy thatcheryzmu. Postmodernizm ze swoją symboliką entuzjastycznie zaaprobowany został przez rojalistów i rządzącą brytyjską szlachtę. Był przecież symbolicznym potwierdzeniem trwałości historycznego „prawa naturalnego”, a co za tym idzie – klasowego systemu – wciąż tak

silnego na wyspie. Czyż można się więc dziwić księciu Charlesowi, że stał się tak gorącym orędownikiem historycznej imitacji? Bronił wartości usprawiedliwiających jego egzystencję. Czy można się dziwić bankom, że ich siedziby zaczęły imitować pałace, skoro szacunek mają tu tylko historyczne instytucje? Czy można się dziwić nowobogackim, że wolą budować wille udające historyczne dworaki, skoro jest to symbol wyższości społecznej?

Podobnie jak w dżungli, zgodnie z zasadą mimikry, zwierzęta słabsze udają silniejsze – w Wielkiej Brytanii warto jest dolepić do fasady swego domu koryncki pilaster i antyczny tympanon, ubrać melonik i nazywać siebie „sir”.

„Kompleksy Anglików na podstawie analizy okien” – to tytuł książki, którą chciałbym napisać. Opisałbym miejsca, w których mieszkałem w Londynie, a było ich sporo. To, co kojarzy mi się z tym miastem najbardziej, to zimne, wilgotne okna, a przez to i mieszkania. W Londynie wciąż 80% okien jest szklonych pojedynczo. Przesuwane okna, zwane *sash-windows*, być może ciekawe estetycznie, mają niereformowalną wrodzoną wadę: muszą być nieszczelne i zimne. Dodatkową ich cechą jest to, że umyć ich nie sposób. Jeśli chcesz mieć czyste okna, musisz zamówić specjalny serwis zarabiający na myciu okien, które normalnie można by umyć szmatką z domu. Ponieważ wielu ludzi na to nie stać albo mieszkają w wynajętych mieszkaniach, których właściciel nie troszczy się o widoki lokatorów, czyste okna są tu rzadkością.

Miałem okazję dokładnie prześledzić renowację ceglanych bloków mieszkalnych z XIX wieku, które mimo wyjątkowej szpetoty dostały się na listę zabytków. Przebudowa zakładała wymianę wszystkich starych okien. Dawało to promyk nadziei na cieplejsze mieszkania, ale nic z tego. Nowe okna musiały być dokładną kopią starych. Kategorycznie żądało tego English Heritage zajmujące się zabytkami i historycznymi budowlami. Jaki argument przemawiał za pojedynczymi szybami? Otóż *podwójne okna mają podwójne odbicie* (sic!), *co ponoć zmienia charakter elewacji*. Ta estetyczna abstrakcyjna małostkowość przeważała. Należało kopiować wszystkie stare architektoniczne błędy: okna musiały być pojedynczo szklone, nieszczelne, zbierające wodę i przemakające. Wiadomo było, że za 5 lat na nowych oknach osiadzie pleśń i zaczną butwieć. Wiadomo było, że Bengalczyki, którzy się tam wprowadzą (były to bowiem socjalne mieszkania dla najuboższych), nie będą mieli pieniędzy na opłacenie. Ważne, że jakiś lord spacerujący po uliczkach zadrze swój nos, spojrzy w górę i pomyśli: *Ach, piękna to mieliśmy historię*.

Architektura to akt polityczny. Umarła historia okazała się tu ważniejsza niż żywi ludzie. Nie twierdzę, że istnieje jakaś konspiracja historyków, która chce dokonać przewrotu politycznego. Bardziej wierzę w ponury *Zeitgeist* – ducha czasu, który zajmującym się przeszłością daje więcej praw i siły niż tym, co chcą tworzyć teraźniejszość i przyszłość.



Epizod III

Nie pomyłę się bardzo, gdy powiem, że wielu turystów za jeden z najstarszych zabytków Londynu uznaje Tower Bridge. Jest jednak dokładnie na odwrót. Tower Bridge jest jednym z najpóźniej wybudowanych mostów i powstał po długich dyskusjach w 1894 roku. Do turystów trudno mieć pretensje, nie muszą przecież być znawcami historii sztuki, a przecież masywne wieże znacznie bardziej przypominają średniowieczne bastiony niż chociażby wieża Eiffla, która jest od tego mostu starsza. Zjadł spory architektoniczne i polityczne, które wybuchły wokół budowy mostu, wynikały częściowo z faktu bliskiego sąsiedztwa Tower of London – najstarszej siedziby królów (z biegiem lat okazała się ona tak niezdolna do mieszkania, że zaadaptowano ją na więzienie, którego ostatnim rezydentem był Rudolf Hess). Nowy most musiał spełnić dosyć specyficzne wymagania. Miał nie odcinać dostępu statkom z wysokimi masztami. Był to wciąż czas, gdy do stolicy wpływały wielkie frachtowce. Most jednocześnie miał zapewnić możliwie nieprzerwaną komunikację w centrum miasta. Wiec XIX był epoką spektakularnych wynalazków i konkurs na most zaowocował bogatym wachlarzem możliwych rozwiązań. Wśród nich most zwodzony był chyba najmniej ciekawym projektem. Fakt, że wybrano właśnie ten, wiele mówi o Anglii i tamtych czasach.

Spór dotyczący wyglądu stał się jedną z najważniejszych dysput architektonicznych końca XIX wieku. Miłośnicy tradycji głosili pogląd, że budując w pobliżu historycznych budowli, trzeba te budowle naśladować. Spierali się z nimi architekci mówiący, że kłamstwem jest udawanie, iż żyje się w średniowieczu, szczególnie gdy buduje się coś, co nigdy wcześniej nie było stworzone. Ci drudzy nie

Londyn,
Tower Bridge i GLA.
Fot. Marcin
Kolakowski.

byli w stanie przekonać „tradycjonalistów”. Był to czas specyficznej moralności, głoszącej, że porządek naturalny i polityczny jest niezmiennym prawem. Atmosfera tego wiktoriańskiego okresu, z kultem natury i historii pojawiającym się w ornamentach, popierała obowiązującą propagandę mówiącą o naturalności porządku społecznego.

Po wybudowaniu Tower Bridge czasopisma architektoniczne nazwały most hańbą stolicy. Rzeczywiście, stalowa konstrukcja mostu ukryta pod atrapą kamiennej fasady mogłaby być, na wzór wieży Eiffla, nową wartością samą w sobie. Kamienna imitacja wieży, która jest rodzajem okleiny na stalowej konstrukcji, była najdroższą częścią mostu. Ciekawe, że tuż przed wybudowaniem sama królowa Wiktorja wystosowała pismo domagające się zaniechania budowy. Choć ciężko to sobie dzisiaj wyobrazić, wówczas Tower of London wciąż był traktowany jako budynek o znaczeniu militarnym, a królowa, słysząc o rewolucyjnych nastrojach, widziała w starym zamku ostatni bastion uciezki. Nowy most był dla niej zagrożeniem przed wrogami z morza, ale i przed własnym ludem, który w tamtym okresie był w stanie budzącej się samoświadomości. Coraz głośniejsze nie zgadzano się z niesprawiedliwością industrializmu i patriarchalnym sztywnym ustrojem. Królowa spotkała się jednak z wielką krytyką ze strony ludzi, dla których most był wielkim ułatwieniem życia i którzy coraz bardziej byli gotowi bronić swych praw. Musiała zatem skapitulować. W czasie gdy budowniczowie kończyli most w Londynie, kobiety wycinały na piersi znamię w kształcie litery „V” – nie oznaczało one Victorii, ale „VOTE” – prawo do głosowania, prawo do demokracji.

Demokracja

Na przekór monarchii i ostatniej w Europie rządzącej szlachcie od wieków w Anglii rozwijała się myśl demokratyczna i społeczna oparta na tradycji antyindustrialnej. W XIX wieku byli to Ruskin i Wiliam Morris czy Ebenezer Howard, który stworzył ideę miast-ogrodów. W XX wieku Ruch Nowej Lewicy, kontrkultura, a potem twórcy wiosek ekologicznych, realizujący idee Schumachera „małe jest piękne”, połączyli idee społeczne z ekologicznymi.

Po II wojnie światowej idee społeczne skorumpowane zostały ekonomiką produkcji domów. Powstało wrażenie, że szybko-tanio znaczy socjalnie. Nie znaczyło. Ci, którzy myślą, że bloki są wynalazkiem krajów socjalistycznych, mylą się. Blokowiska znane są doskonale nad Tamizą. Bloki z niezwykle długimi galeriami, garaże na parterze stały się na przełomie lat 50. i 60. symbolem nowoczesnej architektury. Rampy i drogi na różnych poziomach łączyły ze sobą domy i miały stworzyć nowe przestrzenie, w których mogliby się spotykać ludzie. Filmy reklamowe z tych czasów głoszą, że skończył się czas slumsów. Okazało się to dosyć przekonujące, bowiem był to czas, gdy wciąż w Londynie wiele domów nie miało łazienki, gazu, ogrzewania, jakie oferowały nowe bloki, a angielskie



ślawojki ozdabiały setki londyńskich ogródków. Powszechna propaganda miała jednak ciemną stronę: przymusowe wysiedlenia ludzi z domków do nowych bloków. To znowu coś, co w Polsce kojarzy się jedynie z Gomułką, jednak taki brak szacunku dla ludzi znany był również na Zachodzie. Tak powstawały „pseudo-społeczne” idee architektoniczne.

Zrealizowane koncepcje okazały się zaprzeczeniem świetlanych wizji. Rampy łączące bloki nie stały się miejscem spotkań sąsiadów, lecz drogami ucieczek rabusiów. Wspólne ogrody nie stały się okazją do kontaktu z zielenią, lecz zaniedbanymi trawnikami. Ludzie, mieszkając blisko siebie, stawali się nieczuli na siebie. Bloki, do których przesiedlano ludzi z najbiedniejszych dzielnic, automatycznie zaczęły być kojarzone z siedliskiem bezrobocia, stały się symbolem przepęchłości.

Jak wygląda demokracja oficjalna? W szkockim parlamencie w 2001 roku odbywała się wystawa „Architektura i demokracja”. Na wystawie prezentowane były słynne projekty, między innymi niemiecki Reichstag zaprojektowany przez Normana Foster’a, projekt Oskara Niemayera w stolicy Brazylii, którego trzy budynki o kształcie spodków i prostopadłościanu symbolizować miały władze wykonawczą, ustawodawczą i sądowniczą. Na wystawie pokazano zdjęcia wszystkich parlamentów europejskich.

W grudniu 2002 roku w Londynie rozwiąże się konkurs „Architektura demokracji”. Dotyczy on jednak przebudowy ważnych budowli publicznych, takich jak ratusze.

Takie podejście redukuje jednak demokrację do formalnego suchego aktu wrzucenia głosu do urny, nie mówi nic o żywym udziale w życiu publicznym.

Londyn,
ulica w Brixton.
Fot. Marcin
Kotakowski.

Nie tylko architekci chcą być zaangażowani w problemy urbanistyczne i jest to dowód, że demokracja dotyczy też architektury. Dowodem są również zorganizowane ostatnio wielkie demonstracje pod hasłem „Odzyskajmy Ulice”. Te coroczne demonstracje nadały Londynowi ostatnich lat swoistego kolorytu. Mają one charakter ulicznego karnawału pełnego dowcipnych happeningów. A to główne rondo przed parlamentem zostaje wyłożone trawą i zmienione w łąkę w środku miasta; a to setka rowerzystów wjeżdża na rondo lub London Bridge i, jeżdżąc w kółko, tamuje ruch i propaguje rowery; a to w biznesowym centrum w samym środku biurowego dnia pracy setka przebranych za rusalki dziewczyn rozpoczyna festiwal, zaplatając wstążkami wielki kij podobny w formie do wielkanocnych polskich palm; a to orkiestra doboszy wraz z wielkimi kukłami, rozrzucając setki dmuchanych globusów, wprowadza hasło „Chcemy parków, a nie parkingów”, „Chcemy Globalnej Ekologii, Nie Globalnej Ekonomii”, „Chcemy Demokracji, nie Demarkacji”.

To jest *Londyn Festiwalowy* – na pewno spektakularny. Istnieje jeszcze inny.

Grassroots (rosnące z korzeniami traw) – określają Anglicy takie właśnie oddolne inicjatywy.

Jednym z nich jest Angle Town – Miasto Aniołów w dzielnicy Brixton. Jeszcze 10 lat temu było to jedno z tych osiedli, w które miejscowi się nie zapuszczali z rozsądną obawą o zdrowie i mienie. Osiedle powstało na fali fascynacji tanimi blokami. Powstało ich tu kilkanaście z długimi galeriami pełnymi „ciemnych zaułków”, które upodobali sobie miejscowi bandyci. Niektóre z tego typu bloków zostały zburzone. Historia Angle Town potoczyła się inaczej. Ideowi aktywiści stworzyli grupę, której celem było pośredniczenie pomiędzy instytucjami państwowymi, urbanistami, architektami i samymi mieszkańcami.

Wszystko zaczęło się kilkanaście lat temu. Gdy w tym roku odwiedziłem Angle Town, widziałem budowlane metamorfozy. Część budynków jest już przebudowana, część w trakcie budowy. Komitet mieszkańców, autentycznie dumny z projektu, organizuje spotkania mieszkańców z architektami i urzędnikami. Dla niektórych bezrobotnych z osiedla (a jest to tu szczególnie problem) budowa stała się szansą zatrudnienia i zyskania nowego zawodu. Komisja wypracowała zasady działania, które wypisała w swoim statucie: szacunek wobec każdego z osobna, szacunek dla różnorodności, uznanie dobra społecznego ponad dobro własne. Zasady wyglądające dosyć utopijnie, tu traktowane są poważnie. Stały się fundamentem tworzenia nie tylko nowych budynków, ale nowej wspólnoty między ludźmi. Garaże na parterze zamieniono na małe lokalne sklepiki. Budynki zostały przebudowane w taki sposób, że większość mieszkań ma osobne wejście i mały ogródek. Dzięki temu są to miejsca, w których można się czuć właścicielem, choć formalnie jest to jedynie dzierżawa. Wiele nowych budowli wzniesiono zgodnie z zasadami architektury ekologicznej, do czego zdecydowa-



nie przyczynili się mieszkańcy, którym zależało, by osiedle stało się wzorem dla innych. Drewniane fasady nowych budynków pochodzą z plantacji respektujących zasady zrównoważonej wycinki. Wiele mieszkań wciąż pozostaje tak zwanymi mieszkaniami socjalnymi, przyznawanymi zwykle najuboższym. Obok powstały jednak nowe budynki o nieco wyższym standardzie. Uniknie się w ten sposób stygmatyzacji osiedla kojarzonego z biedą. W czasie przebudowy niektórzy mieszkańcy formalnie dzierżawiący mieszkania od państwa musieli się wyprowadzić. Utrzymują oni jednak ścisły związek z komitetem przebudowy. Większość z nich powróci tu za rok – po zakończonych pracach. Koncepcja tego projektu wprowadzana jest stopniowo od kilkunastu lat. Niezwykłym widokiem są długie bloki, które zostały przebudowane na razie do połowy. Wraz z renowacją pojawiła się zieleni zadbanych ogródków.

Okazało się, że wyburzanie bloków wcale nie było konieczne. Wystarczyła rozmowa i dyskusja z samymi mieszkańcami. Projekt rozwijał się powoli i poniekąd było to jego siłą. Idee współpracy architektów, mieszkańców i pracowników socjalnych wywodzą się z utopii lat 60. Pierwsze z nich powstały w berlińskiej dzielnicy Kreuzberg. Tak skryształizowała się idea *Przebudowy Miast Małymi Krokami*. Mówi ona o tym, że utopie i wielkie idee muszą być realizowane krok po kroku, tak by w wypadku błędu istniała możliwość jego poprawienia bez trącenia z oczu idei, którą jest demokratyczny rozwój miasta.

Angle Town ukazuje również problemy *Londynu Wielu Kultur*. Niektórzy mówią, że może być pod tym względem porównywany tylko z Nowym Jorkiem. Inni nie zgadzają się z tym. Mówią, że w Ameryce jest wiele ras, ale jedna kultura – amerykańska. Dla Londynu wielokulturowość jest potęgą i wyzwaniem, które

Londyn,
Angel Town.
Fot. Marcin
Kolakowski.

traktuje się inaczej niż w Ameryce. Inaczej niż na przykład w Niemczech, gdzie w Berlinie rozprasza się ludzi jednego pochodzenia w obawie przed tworzeniem się enklaw lub gett. W Londynie istnieją dzielnice bengalskie z bengalskimi nazwami ulic, indyjskie z indyjskimi targami, żydowskie, gdzie codziennością są obrazki jakby wycięte z przedwojennego Kazimierza lub Zamościa. Są i polskie dzielnice. Niestety, młodzi Polacy znani są najbardziej ze swojego rasizmu i bójek, które wszczynają z Afrykanami. Ponad napięciami rasowymi przeważa jednak powszechna duma z rodzimej kultury. Ludzie zachęceni są tu do kultywowania swych tradycji, dzięki czemu czują się bardziej sobą i mogą wykorzystywać swój potencjał bez niepotrzebnych kompleksów. Niedawno dostałem zaproszenie do głosowania napisane między innymi po somalijsku, chińsku, w dialektach indyjskich i w kilku językach, których istnienia nie byłem świadom. Zastanowiło mnie, czy w Polsce po przystąpieniu do Unii takie informacje o wyborach będą pisane po wietnamsku, hebrajsku, niemiecku, białorusku, rosyjsku i rumuńsku. Przecież na tym właśnie ma polegać idea *Power For The People* – władza w ręce ludzi.

Jedną z osób, które w architekturze związały się z tą zasadą, był Walter Segal. Był outsiderem w stosunku do głównego nurtu architektury modernistycznej. Jego budowle, pozornie nie wyróżniające się, zyskały od samego początku duży rezonans w Wielkiej Brytanii i Niemczech. Dzięki swej pragmatyczności stały się w Wielkiej Brytanii symbolem idei społecznych i ekologicznych. W latach 70. powstało Stowarzyszenie Samobudowania imienia Waltera Segala – *Walter Segal Self Build Trust*, które aktywnie działa do dziś.

Segal stworzył swoją metodę przy współpracy z dwoma wędrownymi cieślami, którzy wymienili się z nim doświadczeniami. Była to prosta technika, którą każdy jest w stanie opanować. Jej popularność zaskoczyła Segala, który powiedział: *Chociaż nigdy nie wierzyłem, że możliwe się stanie, by tak prostą technologią zmienić trend w budownictwie – ta technologia może być jednakże istotnym wkładem ku takiej zmianie. Musimy przeanalizować możliwości budownictwa mieszkaniowego w małej skali z nowymi przemyśleniami i na szerszą skalę.* Był zdania, że przy pomocy tego systemu uda się zapewnić każdej rodzinie możliwość mieszkania we własnym, przez siebie wybudowanym i zaprojektowanym domu na okres 30 lat. Przy tym koszty mogą stanowić zaledwie 1/3 klasycznej budowy. Prototypem stało się osiedle w Lewisham w Londynie, mające 11 domów powstałych w 1977 roku. Wszystkie powstały jako projekt partycypacji mieszkańców. Brali oni udział w projektowaniu, a potem we wznoszeniu budynków. Pozytywny aspekt tego typu socjalnego budynku był dla Segala oczywisty: *Poprzez własną pracę przyszli mieszkańcy wiążą się znacznie silniej z miejscem, w którym żyją, niż w jakimkolwiek innym typie budownictwa mieszkalnego. Budynki są podobne, lecz nie takie same. Tworzą równowagę pomiędzy wspólnotą i indywidualnością. Budzi się świadomość mieszkańców wobec architektury.*

Dzięki temu projektowi Segal umożliwił stworzenie godziwego domu prostym ludziom, rencistom, samotnym matkom i emigrantom. Za pomocą tego projektu udało mu się pokazać, że architektura powinna być *procesem*, a nie tylko *faktem*. Proces ten trwa po śmierci architekta. Dziś sąsiedzi pomagają sobie w przebudowach, które są łatwe i częste na tym osiedlu. Z biegiem czasu mieszkańcy zdążyli się już wyspecjalizować. Jedni doskonale umieją montować nowe okna, inni stawiają ściany. Gdy odwiedziłem jeden z tych domów, jego właściciel, emigrant z Jamajki, właśnie postawił fundamenty pod rozbudowę. Urodził mu się właśnie czwarty syn i potrzebował więcej miejsca. Nowe, przeszklone skrzydło domu dodawało budynkowi nowej wartości. Prosta konstrukcja szkieletowa umożliwiła też właścicielowi wycinanie niezwykle kształtów w ściankach działowych.

Organizacja WSSBT działa prężnie, organizując kursy oraz inicjując projekty dla najuboższych, udzielając pomocy prawnej dla tych, którzy nie mają pieniędzy, a chcą mieszkać we własnym domu. Budynki, które proponują, nie mają wysokich standardów. Ale przecież mieszkańcy nie kryją swej euforii. Wśród projektów zainicjowanych przez WSSBT można wymienić projekty wykonane przez bezrobotnych, przez samotne matki, a ostatnio nawet projektowane i budowane przez osoby niepełnosprawne.

Mikroskala dla Makrospraw objawia się w projektach popierających demokrację. Często nie sposób odróżnić tu architektury od socjologii. Dowodem tego jest projekt z dzielnicy Tower Hamlet – jednej z najbiedniejszych dzielnic Londynu – Ośrodek Zdrowia w Tower Hamlet. Jest pierwszą „przychodnią” w Wielkiej Brytanii, której właścicielami są sami pacjenci. Jego twórcy, aktywiści i architekci skupiają się na działaniach w *Skali Mikro*. Centrum powstało w kościele i nie jest normalną praktyką lekarską. Różnorodne kursy i projekty taktowane są tu jako część zdrowego życia. Zdarza się, że lekarz przepisuje tu na receptę kurs plastyczny lub medytacji, a nawet kick boxingu. Lekarze mają stały kontakt z pacjentami, którzy mogą traktować wizytę u lekarza jak towarzyskie spotkanie.

Twórcom ośrodka udało się też skłonić lokalne władze, by oddały ośrodkowi w dzierżawę niektóre tereny międzyblokowe. Konkretnie osoby wybrane spośród bezrobotnych dostały tam pracę i czują się właścicielami ogródków, choć teren dostępny jest przecież dla wszystkich. Dawne trawniki zamieniły się w zielone oazy. Ośrodek stworzony przez mieszkańców, przez nich prowadzony, ogniskuje życie osiedla. Dowodem na to, że rzeczywiście chodzi tu o demokrację, były ostatnie lokalne wybory, podczas których, po stworzeniu ośrodka, frekwencja wzrosła do 95%. Same jednak wybory są podsumowaniem, kropką nad „i” prawdziwej demokracji, a nie jej treścią. Istotą nie jest wyborcza urna, ale realna władza – naturalne, emocjonalne zaangażowanie ludzi, którzy wiedzą i widzą, że mają wpływ na swoje otoczenie.

Epilog. W poszukiwaniu zaginionej utopii

Znaczenie utopii w języku angielskim różni się nieco od tego w języku polskim. Dla nas utopia to nieziszczalne mrzonki. Może dlatego, że kojarzy się z kimś, kto utopił zdrowy rozsądek. Różnica lingwistyczna subtelna, lecz znacząca. W innych językach polskie topielcze skojarzenia nie występują. Dwie przecznice od mojego domu znajduje się mały bar mający rozbijającą pstrokaty wystrój, nazywa się właśnie „Utopia”. Jowialna i zawsze chętna do rozmowy Jamajka sprzedaje tu sałatki i kanapki na wynos.

Architektoniczna grupa UTOPIA, tworząc swoje tanie projekty dla każdego, głosi jednocześnie, że *architekci to najbardziej skorumpowany zawód*. „Utopia i architektura” to książka profesora Tafuri mówiąca o tworzeniu się teorii architektonicznych. Zatem w innych krajach pojęcie to bardziej bezpośrednio nawiązuje do społecznych koncepcji książki Tomasza Morusa „Utopia”, oznaczających *Nie-Miejsce*, co można rozumieć nie tyle jako *miejsce, którego być nie może*, lecz którego *jeszcze nie ma*.

Potępienie utopii jest poniekąd kwestionowaniem sensu tworzenia jakichkolwiek dynamicznych koncepcji społecznych. Jest twierdzeniem, że natura i charakter społeczeństwa są czynnikami niezmiennymi (przy czym chętnie nazywa się je prawem naturalnym). Dla krytyków utopii wynika przeto wniosek, że nie warto się zajmować (a już na pewno zmieniać) tym, co niezmiennie. Przedkładają więc całą swą energię na to, co dla nich ciekawsze. Wolą zajmować się ekonomią, giełdą i szybko zmieniającym się Internetem. Wyznają prawa rynku i dzięki temu mogą bez żadnej odpowiedzialności czy ograniczeń wykorzystać słabości społeczeństwa. Tak narodziły się w architekturze między innymi klientelizm i postmodernizm, nastawione bardziej na powłoczkę fasady niż na istotne zmiany. Zapominają, że ekonomia jest tworem uformowanym przez ludzi i przez nich może i powinna być modyfikowana. Że prawa popytu i podaży nie są prawami niezmiennymi i nie mogą służyć samym sobie. Zmieniane były i zmieniane być powinny.

Inni krytycy utopii mówią o prawie naturalnym. Jak wynika z przykładów, przemawia za nimi sentyment lub interes utrzymania statusu społecznego. Każda zmiana jest dla nich zmianą na gorsze. Ukrywają się pod maską miłośników historii; mówią o humanizmie, lecz przed bożkiem martwej tradycji nie wahają się poświęcić żyjących. |

